DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 1 czerwca 1889 r. — Nr. 16.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol." kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WSPOMNIENIE.

Przez **S. W.**

IX.

Idziemy w pole, bierzem się za ręce;
Matka poprawia fałdy w mej sukience,
Bogu mnie w świętą opiekę oddaje,
Zaczem stróż-anioł zaraz przy mnie staje,
I w jego ciepłe skrzydła otuleni,
Fruwamy błogo po ziemskiej przestrzeni!
A gdy się jutrznia blada do nas skrada,
Wyznanie, które było w ustach, siada
Na złoty rydwan tej księżniczki świata,
I w cherubinów krainy odlata.
Szczęście, że wszędzie stokroci jest pełno,
I innych kwiatów ze srebrzystą wełną;
Rwąc je, oboje pytamy się skrycie:
„Kocha mnie?.... mało?... troszeczkę?... nad życie?.."
A żaden z kwiatów, znanych zwodzicieli,
Nigdy: „Nie kocha!" rzec się nie ośmieli.
Albo w mrowisko gdy cykoryi główki
Strącim, natychmiast pracowite mrówki
Tak je obsiędą, że kwiatek liliowy
Staje się cały prawie purpurowy.
Radość nam wielka, lecz, jak dzieci, skromnie
Spuszczamy oczy; a chociaż on przy mnie
Idzie i czuję, jak serce takt mieni,
Przecież jesteśmy światem oddaleni.

X.

Niejedno skwarne minęło południe,
Niejedno włókno matka sprzędła cudnie.
A lubo serca, choć jednako biły,
Niczem miłości swojej nie zdradziły,
Znał ją już ptaszek, gryzący żołędzie,
Znał ją kwiat każdy w lesie i na grzędzie,
A zrożowiona chmurka na zachodzie
Jakoś domyślnie do róży w ogrodzie
Mrugała... Nawet i rybki z wód głębi
Coś szczebiotały do mknących gołębi
Nad rzeką — ręczę, że o nas psotnice
Mówiły. Zmierzchem, gdy zapalam świecę,
Komar i nocna ćma, lecąc z ciemności,
Zdają się brzęczeć o naszej miłości;
Wszystko i wszędzie — gdzie tylko pójdziemy —
Wie o tem, o czem my sami nie wiemy.

XI.

Nad rzeką lipy czoło dumne wznoszą
I smukłe świerki do nieba się proszą.
Wśród nich skromniuchny kościołek z dzwonnicą
Pieczę nad całą objął okolicą.
Codzień mieszkańców z słodkiego snu budzi
Słodszy dźwięk: „*Ave*"; codzień rzesza ludzi
Kwiatów i bluszczów znosi tu do zbytku,
By wieczny maj był w Maryi przybytku.
Raz powiedziałam: „Chodźmy tam — na wzgórza,
Gdzie kościoł w srebrnej fali kształty nurza,
Lubo omszony wiekiem, taki czysty,
A na nim wzniosły, szczytny, promienisty
Lśni znak Golgoty. — I poszliśmy żywo —
Przez bór sosnowy droga wiedzie krzywo.
Za drzewa łasic chowały się stadła;
Niejedna przez nas szyszka z sosny spadła,
Niejeden ptaszek z gniazdka w lazur frunął,
Niejeden głaz się z pod stopy wysunął.
A droga z szpilek była bardzo śliska —
My nie zważaliśmy na te zjawiska,
Rwąc dla Najświętszej Panny dzikie maki,
Szliśmy tak prawie, jak powietrzne ptaki.

XII.

W kościołku kapłan sędziwy ofiarę
Rozpoczął świętą, a lud hymny stare
Śpiewał tak rzewnie, harmonijnie, pięknie,
Ach! że myślałam, iż mi serce pęknie.

I zaraz u drzwi ugięłam kolano,
W maki me leśne kryjąc twarz spłakaną.
A dusza moja, jak dym miry wonny,
Leciała w niebo do Boskiej Madonny!
Ucichło — to msza skończyła się właśnie.
W ołtarzu świeca ostatnia już gaśnie,
Tylko się olej jeszcze w lampce pali.
Wszyscy już wyszli, tylko my zostali:
Motyl na szybie i brzęcząca muszka,
Ja, on — i w ławkach mateczka-staruszka
Dzwoni rożańcem. Ucieszona szczerze
Idę do matki, kończącej pacierze,
Lecz przy jej stopach, jak w konfesyonale,
On klęczy. Matka, niezdziwiona wcale,
Cierpliwie słucha tej cichej spowiedzi.
Ksiądz pochylony nad brewiarzem siedzi,
Czeka snać jeszcze na jakiś kościelny
Akt, bo już przebrzmiał zwykły hymn niedzielny
I tylko nici pajęcze, rozsnute
W organach, echem powtarzają nutę.
„Klęknij — wyrzekła matka — przed obrazem
Maryi! chcę złączyć dłon e wasze razem.
Pójdź, jedynaczko mego serca, domu —
Komuż cię oddać godniejszemu, komu
Mogę na ziemi?“ — I łączy nam ręce.
Ksiądz, otworzywszy małą książkę: „Święcę —
Śpiewa — was, mili, na ten żywot Boży!“
I poświęcane pierścienie nam włoży
Na zimne palce i wodą nas skrapia.
W Najświętszą Pannę wzrok tkliwy zatapia,
Modląc się za nas z uczuciem wezbranem —
I już jesteśmy złączeni przed Panem!

XIII.

Łodź lekko pruła zbłękitnione fale,
Dawno nam z oczu kościołek na skale
Zniknął; bzy, w naszym kwitnące ogrodzie,
Już rozsiewały miłą woń po wodzie.
A jam marzyła, słodko kołysana
Rajskiem wrażeniem, nie wiedząc, gdzie jestem,
W śnie? czy na jawie? — aż księża sutana
Znów mnie jedwabnym zbudziła szelestem
I przypomniała, że dziś zaręczyny
Moje; a biała wkoło łódki piana
Wskazała, żeśmy przebyli głębiny.

XIV.

W zaręczyn moich familijne święto
Barankom nowe dzwoneczki przypięto,
Wprawdzie nie srebrne, lecz z srebrnemi dźwięki.
Kwiatami domek ubrano maleńki.
A w rozchodniki, złocące dach stary,
Suto pszenicy nasypano jarej.
Do niej się zbiegły wróble, jemiołuchy,
Gołębie, które jasne nieba duchy
Mogą przedstawiać. Kanarka przy gruszy
Z klatką stawiono, gdzie się w słońcu puszy.
Kotkom, strojącym umizgi do niego,
Obficie mleka nalano świeżego.
U stóp Najświętszej Maryi obrazu
Aż świec dwanaście gorzało od razu.
W dzbankach woniały różnorodne kwiatki:
Róże, konwalie, bzy, lilje, bławatki,
Wszystko to drobna rączka tak świątecznie
Przybrała, rączką drogiej mojej matki —
Z serca jej wdzięczną będę za to wiecznie!

XV.

Był ranek cichy. Wietrzyk grał na łozach;
Trzody, po chwastach igrając w wąwozach,
Dzwoniły głucho; echo nikło w jarach,
Żabki półgłosem śpiewały w moczarach.
Z ich chórem chruściel na łące głos mieszał,
Po drzewach pająk srebrne sieci wieszał.
Wśród hałaśliwej serdecznie drużyny,
Sąsiedniej dziatwy, szliśmy na maliny.
Dzieciaki białe, piękne a niewinne,
Jak chochlik puste, jak wiewiórka zwinne,
Po cyplach skały wspinały się zręcznie
Za rubinową jagodą. Śmiech dźwięcznie
Kaskadą spadał do stóp góry, kędy
Przypominaliśmy sobie legendy
O tych owocach. Blada twarz Aliny
Wciąż nam świeciła z dziećmi wśród wikliny.
„Coż za cudowne takie malin zbiory!“
Rzekł, spoglądając na ten różnowzory
Ludek wśród lasu. „Patrz, luba, mnie zda się,
Że tak niebieski pasterz owce pasie,
Jak my te dzieci, bacząc bez ustanku,
Aby z nich które nie poniosło szwanku,
Nie wpadło w przepaść, lub o cierń ostrzejszy
Nie uraziło stop. Lecz on czujniejszy,
Niż my maluczcy! — Ach! leśna Dyanna
Ta smukła nie jest-że, jak moja panna?
Spojrz tylko, nawet słodziuchne malinki
Zrywa do kosza, jak zacne uczynki
Ktoś z nas za dobrej matki swojej radą.“
„A gdzież ten drugi, kogo także kładą
Między gwiazdami?“ spytałam — „Ten drugi,
Lubo się gwieździe stawia na usługi,
Nie jest nią — choć mu na chęciach nie zbywa.“
Och! jakże wówczas czułam się szczęśliwa!

XVI.

Często sam na sam płynęliśmy łódką
Aż pod kościołek; tam na chwilę krótką
Szliśmy we dwoje do cichej kaplicy
Serca otworzyć swe Bogarodzicy,
Dziękować Pani za doznane łaski
Ach! za te, które miłość daje, blaski!....
Z wesołą myślą wracamy do chaty,
Do kolan matki. Wkoło drzewa — kwiaty,
Siadamy sobie w najwonniejszej grzędzie,
W której rozmaryn, lewendę posiano;
A matka jeno uporczywie przędzie,
Chcąc córce z domu dać królewskie wiano.
Od świtu nici na wrzeciono mota,
Nie przerywając swojego zajęcia,
Poprawi chyba przed obrazem knota,
Lub grzeczne słowo do przyszłego zięcia
Powie — mateczka moja dobra, złota!

XVII.

Jak w starożytnej klepsydrze godziny
Zwolna mijały z sączeniem się piasku,
Tak nam dzień po dniu w wieczności głębiny
Cicho zapadał. Bo w różowym brzasku,
Jak jutrznia, ducha kąpaliśmy rąbki,
Idąc przez życie, jak białe gołąbki
Niewinne, czyste, a trwożliwe oba.
Już i spełnienia naszych życzeń doba
Zdzierała zwolna z przyszłości kotary,
Magnetyzując nas swojemy czary.
I ani białe na wodzie łabędzie
W tęczowej łunie nie znały tych wrażeń,
Ani sokoły, o stropu krawędzie
Ocierające się lekko, bez skażeń,
Jakie my znali — nie bacząc, co będzie!....

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nad morzem.

Powieść z życia Duńczyków.

Przez

K. F. Schroetera.

Z niemieckiego języka tłomaczyła Helena Neyman.

(Ciąg dalszy.)

W miasteczku znajdowało się niemało dziewcząt, z których niejedna najchętniej dolę swą własną z jego byłaby połączyła dolą, lecz on widocznie zapragnął pierwej los córki ustalić, aby ta nie widziała nigdy obcej sobie kobiety na miejscu, które w mniemaniu kochającego dziecka jedynie jej matka zajmować była godną. Tymczasem Aurora doszła lat siedmnastu, a ojciec spostrzegł, że młodość jego dawna upłynęła. Było im obojgu ze sobą dobrze! Jakaż to była radość gdy dnia pewnego stara bryka pocztowa przywiozła mu ze stolicy śliczne, jak anioł, dziewczę.

Stary sługa Jan nie śmiał swej spracowanej podać jej dłoni, i kucharka Krystyna życzliwem, ale nieśmiałem powitała ją słowem. Ojciec tylko objął ją po dawnemu w objęcia i czule do serca przycisnął.

Krystyna marzyła, że do ukochanej panienki chyba tylko jakiś książę z bajki przyjechać się ośmieli, lecz wbrew marzeniom poczciwej sługi myśl młodego dziewczęcia Johannsenem się zajęła.

Poznali się na dorocznym w miasteczku balu, który był zwykle przedmiotem długiego zajęcia ze strony mieszkańców Ringsborga; „Wieczorna gazeta“ musiała o nim także zdawać sprawozdania, jakoby o dworskich balach w Kopenhadze.

Nakładca dzieł Fryderyka, Jan Paulsen, znając osobiście starego Porthona, uważał sobie za obowiązek swego protegowanego w jak najlepszem przedstawić świetle. Pomimo zajęcia, które Fryderyk w kole tem obudził, dopiero w ostatnim, dłuższym pomiędzy tańcami przestanku do Aurory Porthon zbliżyć się zdołał.

Już tego wieczora zdawało mu się, iż młoda dziewczyna nieco się nim zajęła, co go zresztą nie dziwiło, ponieważ, przepędziwszy oboje czas dłuższy w Kopenhadze, łatwiej i swobodniej mogli z sobą myśli wymieniać, niż z resztą balowego towarzystwa.

— Nie mógłbyś mi, panie doktorze, poświęcić kilku chwil, zapytała z pewnem poruszeniem.

— Jestem na rozkazy łaskawej pani, odpowiedział z pełnym szacunku ukłonem.

— Uważam, iż pana tutajsze towarzystwo nudzi w wysokim stopniu i uznaję to poniekąd za słuszne. Kopenhaga i Ringsborg — och! cóż to za kolosalna różnica. Pedanterya małego miasteczka razi zapewne pana na każdym kroku; ludziom, którzy czas dłuższy wielkomiejskiem oddychali powietrzem, wydaje się tutaj wszystko małem i niedorzecznem.

Bystrość sądu, żywość wyobraźni dziewczęcia w dalszym toku rozmowy w najwyższym stopniu zajmować poczęły Fryderyka.

— Sądząc z rzadkiego daru obserwacyi życia, jestem przekonany, iż dobra byłaby z pani nowelistka.

— Może do „Gazety wieczonéj“?... o! dziękuję, wątpię zresztą, czy posiadałabym wytrwałość do tego. Ma być także z niemałym połączone trudem nazwisko swoje uczynić popularnem w literaturze! Czytałeś pan już „Kwiaty gór“, panie Johannsen? Otoż to prawdziwa poezya — a podobno autor tych poezyi ma się pomimo to znajdować w kłopotach finansowych. Księgarz, od którego brałam w Kopendze książki, powiadał mi, iż młody poeta żadnego dotychczas nie znalazł uznania. Skądże to pochodzi, panie doktorze, zechciej mi to łaskawie wytłomaczyć.

Zwróciła na niego wielkie oczy swoje, spokojnie oczekując odpowiedzi.

Nagle odezwała się:

— Chciałabym już udać się do domu, czyż nie mógłbyś mię pan odprowadzić? Ojciec mój prawdopodobnie zajęty jest grą z którym z przyjaciół swoich.

Jak w rozkosznym śnie pogrążony, zbudził się Fryderyk. Z początku zajmowała go ta dziewczyna, a teraz im dłużej w jej towarzystwie pozostawał, tem więcej przychodził do przekonania, że raz tylko w życiu znajdujemy to, co drugą część naszego życia stanowić zwykło.

Wszystko w niej było pięknem i prawdą. Jej uśmiech dźwięczał mu w uszach nakształt wesołego śpiewu skowronka, podczas gdy w niezgłębionym wyrazie wielkich, brunatnych oczu znajdował podobieństwo do dwóch gwiazd na niebie... ileż w nich było natchnienia! — Jakże płomienna ta istota zdołała się tak rozwinąć pod zimnem niebem północy?

Noc była gwiaździsta i mroźna, gdy oboje, w ciepłe futra otuleni, powracali do domu. Szum fal, dochodzący od morza, łączył się z odgłosem balowej muzyki. Zresztą zupełna cisza!

Aurora całą piersią odetchnęła; było jej dziwnie błogo! Cicho poczęła szeptać do siebie:

Gwiaździstej raz nocy, upojon w marzeniu,
Pobiegłem, gdzie czoła chłodzono mi znoje
Tym wichrem od morza, co, kryjąc się w cieniu,
Naturę tej ziemi wyzywał na boje.
Szum fali, co morskie wzruszała głębiny,
Bóg wielki nade mną — to świadek jedyny.

Fryderyk pochwycił dalej:

Zmęczony wichrami stanąłem nad brzegiem,
Wyniosły zwycięztwem, kupionem dość drogo;
Przeszłości wspomnienia stanęły szeregiem
Przed duszy oczyma — lecz było mi błogo.
I wtenczas pytałem, co spokój ten znaczy
Po męce bolesnej, wśród życia rozpaczy?

A fala zielona wciąż ucho mi pieści
I hymny podniosłe na Boga śle cześć.
Rozprawia o wielkiej tych ludzi boleści,
Co, mali duchowo, niezdolni jej nieść
I czekać w pokorze, dopóki tej zorzy
Świetlanej ich szczęścia Bóg dla nich nie stworzy.

W tej pieśni od morza potęga nieznana
Odsłania prawd skrytych wymowne sztandary,
I każe mi wierzyć siłami Tytana,
Że prędzej, lub później Bóg ześle swe dary.
Lecz o tem zapomniał słabnący ten lud:
Znieść pełną szczęść czarę — za wielki to cud!

Głos jego coraz większej nabierał siły! Ostatnie wyrazy dźwięczały, jakoby na strunach jego duszy. O! złoty czasie młodości, gdy wiary pełen poeta wszystkie swe bóle i gorycze ducha w podobne słowa wcielić zdoła! O! piękne to chwile poety. I kiedyż przyjdzie znowu chwila, w której zapomnienie o życia prozie pozwoli wznieść się do najwyższych szczytów i duchem utonąć w niedoścignionym idealizmie?...

— Ach! pan znasz Olsena także? I mogłeś przede mną zamilczeć o tem; czyn to prawdziwie zasługujący na ukaranie — rzekła z uśmiechem, opierając się na jego ramieniu.

— Chodź pan na wybrzeże, chciałabym więcej słyszeć o Olsenie; nie pojmujesz pan nawet, ile mam współczucia dla jego doli. Ale mówże mi pan o nim, rzekła po chwili, widząc, że milczy — czyliż ja jedynie mam podtrzymywać rozmowę? czyż mogę zapytać, jakie ten budzący we mnie zajęcie poeta ma oczy, jakie włosy, ja-

kiego gatunku nosi okulary, czy jest żonatym, lub samotnym dotychczas?

Lekkie szyderstwo drgało w jej głosie.

— Czy zechcesz mi pan odpowiedzieć na tak szczegółowe zapytania?... chciałabym nawet wiedzieć, jakiego koloru nosi krawaty.

Fryderyk służył jej widocznie za przedmiot żartów.

— A więc słuchaj, pani, zawołał. Widywałem go często w Kopenhadze; łączyła nas wspólność doli — byliśmy obaj młodymi literatami na ciężkim dorobku sławy. Czy był ładnym? nie wiem. Wysokie czoło wznosiło się dumnie nad modremi oczyma i stanowiło może jedyną jego ozdobę. Szczególne jego obejście zwracało uwagę powszechną. Zauważono, iż dziwnie stronił od towarzystwa i wszelkiej zabawy. Lecz kto go widział w ciasnej jego izdebce natchnionego, pracującego z zapałem, ten godził się z nim, i był mu przyjacielem. Biednym był doprawdy. Nie umiał się naginać, a był zmuszonym stosować natchnienie do godziny, jako pracownik-najmita, pracownik czasopism. Ciężka to była praca, ta praca na rozkaz redaktora, to obliczenie długości każdego artykułu, zamykanie myśli często w niewłaściwem pojęć kole.

— O! jakże go żałuję — zawołała Aurora ze drżeniem w głosie — a później, gdy wyszły już te piękne „Gór kwiaty"?...

— Później był czas, w którym marzył cudownie, tem więcej, gdy doznał życzliwego przyjęcia krytyki, lecz sen ten piękny zbyt szybko się rozwiał i znów biedny pracował, jak dawniej, dla czasopism jedynie. Udając się do Ringsborga, straciłem go z oczu.

— Dziwi mię, że go pan nie bierzesz w opiekę w swej „Gazecie wieczornej": gdyby krytyka niestrudzenie polecała Olsena publiczności, sądzę, iż ta w końcu z upodobaniem czytałaby jego utwory.

— Mam zamiar jeszcze dość długo na czele tejże pozostać gazety, zarówno jak być mieszkańcem Ringsborga, lecz nie mam wcale nadziei, abym skromnem swem pismem zdołał pozyskać dla Olsena uznanie i sympatyą ogółu.

— Masz pan poniekąd słuszność, doktorze, wyrzekła cicho Aurora. Zdanie pańskie podzielam zupełnie. Lecz patrz pan, otoż morze!

I nad samem wybrzeżem stanęli obok małego odłamu skały. Morze szumiało, zmywając bałwanami brzeg ziemi i pozostawiając za sobą lśniące krople, które uroczy tworzyły widok. Księżyc oblewał mdławem swem światłem zieloną wód przestrzeń, i przeglądał się ciekawie w jej powierzchni. Szum uderzających bałwanów dziwnie potężną dla ucha tworzył muzykę.

Aurora nagle zadrżała — było jej zimno.

— Chodźmy, zawołała. W drodze nie zamienili ani słowa ze sobą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO"

Lwów, dnia 24 maja, 1889.

Pokój „Domowi polskiemu!"

Witam Was, siostry i bracia wielkopolskiej ziemi, darząc pozdrowieniem od sióstr i braci z nad Pełtwi i prosząc o gościnne przyjęcie.

My się tu zabawiamy polityką *en gros*; aż pięć pism łamie sobie głowę nad Boulangerem i sprawą wychowania Aleksandra serbskiego bez Natalii, lub nad abisyńskim Negusem. Mamy sporo pism fachowych i pseudohumorystycznych, ale pisma, poświęconego specyalnie kobiecie, nie mamy. Tyle jest spraw ogólnych i miejscowych, tyle zagadnień ważnych do rozwiązania przez kobiety, ale brak inicyatywy. Lwów może się poszczycić całym legionem pań niemniej pięknych i niemniej od Was, Wielkopolanki, chętnych do usług dla społeczeństwa, ale w obec „Domu polskiego" musimy się przed Wami rumienić.

Za to nasze panie umieją doskonale pogodzić kwestyą emancypacyi z obowiązkami kobiety w rodzinie. W ognisku rodzinnem, nie dzieląc z nikim panowania, dzierżą energicznie swe berło i nie kuszą się o sławę p. Klary Schulz, która rozprawą: „La femme médecin au dix-neuvième siècle" narobiła hałasu w Paryżu — ani znanych w Sztokholmie z rozpraw w dziedzinie matematyki i fizyki: Zofii Kowalewskiej i Józefy Chybińskiej.

Nasze panie trzymają się zasady, że filozofią i treścią kobiety jest — m i ł o ś ć, a ta z matematyką i fizyką nie ma nic wspólnego, raczej z poezyą i muzyką.

Milczącej liry św. p. Bartusownej nikt jednak nie rusza — strata za wielka, żałoba jeszcze nieskończona. W przeszłym miesiącu odbyło się poświęcenie i odsłonięcie jej pomnika. Pod medalionem poetki znajduje się lira, a u spodu wiersz Lenartowicza:

Chatynkę, jakiej nie miała sierota,
Wzdychając za nią aż po życia kres,
Stawiają dłonie czułych siostr i braci.
Księgi jej pieśni nie na wagę złota
Ciężą — lecz na wagę łez;
Za takie pieśni sam Bóg w niebie płaci.

Mówią, że źli ludzie nie lubią muzyki; Lwów musi być bardzo dobrym, bo muzyki mamy może nawet trochę za wiele. Cieszcie się i Wy, bracia i siostry wielkopolskie, z nami, bo nasze słowiki chętnie odlatują — może i Was odwiedzą. A jest w czem wybierać!

Urocza *diva* Pawlikówna rzewnym i sympatycznym głosem zachwyca Lwów, jako Rachela, Aida, lub Walentyna, a jako Carmena rywalka jej, p. Mira Heller, uczennica Souvestre-Paschalis i z tejże szkoły Michalina Frenkel-Niwińska. W innym znowu rodzaju z prześlicznym głosem słowik, p. Patkiewicz, uczennica Marka, a z dawniejszych p. Skalska i p. Kasprowicz.

Mamy tu i wróbli o słowiczym głosie: Jeronim, Jerzyna i Wierzbicki, a mniejszych ptasząt, znanych z estrady koncertowej, bez miary — i raz jeszcze powtarzam — na Lwów trochę za wiele. Nie zapominajcie, że mamy znakomite towarzystwo śpiewackie, „Lutnia", która niedawno za współudziałem towarzystwa muzycznego wykonała wspaniałe dzieło M e n d e l s o h n a: „Paulus," i że prócz tego sprowadzają nam zagraniczne kanarki, które jak n. p. panna Sigrid Arnoldson — zaczarowują nietylko muzykalne uszy, ale i oczy każdego śmiertelnika. Laurów i pieniędzy nadobnej *divy* pozazdrościła p. Patkiewicz i dała się zaangażować na występy podobno aż do Hiszpanii. Namówił ją do tego *impressario*, p. Arnoldson. Szczęść, Boże! Oby tylko nie powróciła stamtąd Hiszpanką, lub Włoszką, jak pewien liryczny tenor, który wyjechał M y s z u g ą, a wrócił F i l i p p i m.

Gdy mowa o sztukach pięknych, nie zawadzi wspomnieć o obrazie M a t e j k i, przedstawiającym „Wjazd dziewicy Orleańskiej do Reims", o którym lwowscy profani rozmaite wydawali sądy. Powtarzam za innymi:

Brak powietrza i perspektywicznych złudzeń przestrzeni, przeładowanie figurami i przesada w rysunku. Życie każdej postaci to realizm — prawda, chwycona z natury, ale połączenie grupy świętych i aniołka nad chorągwią Joanny — z ludźmi — fatalne, ciężkie; zda się, że spadną za chwilę na ten tłum zmieszany, cisnący się i bezładny. Niektóre pojedyńcze części to arcydzieła skończone; kolo-

ryt, zdumiewająca technika, łatwość tworzenia i potęga myśli — oto zalety, w których mistrz krakowski nieprześcigniony. Przed kilku dniami nadesłano tu na wystawę cykl historycznych obrazów Matejki, ale sprawozdanie o nich odkładam do następnego listu.

Drugi malarz krakowski, Juliusz Kossak, akwarelista, niezrównany w rysunku koni, obchodzić będzie wkrótce jubileusz, do którego uświetnienia przyczynią się prawdopodobnie wszyscy malarze polscy.

Odbył się także jubileusz Oskara Kolberga, zasłużonego zbieracza pieśni ludu polskiego, który w wydanych 25 tomach pomieścił prawdziwe skarby dla etnografii, historyi cywilizacyi, poezyi i muzyki polskiej — i jubileusz sędziwego prezydenta austryackiej izby posłów, Dr. Franciszka Smolki. Nadto istnieje zamiar uczczenia najsławniejszego bibliografa polskiego, Karola Estreichera, medalem, mamy więc o czem myśleć — istna jubileomania.

W ogóle na nudy we Lwowie uskarżać się nie można. Po sprawie kukizowskiej, której echa zapewne aż do Was doleciały, zelektryzowała nas tragiczna śmierć arcyksięcia Rudolfa, potem walka tutajszych szewców w konkurencyi z niemieckim bazarem Frankla, który istną siecią sklepów z tandetą zarzucił całą Galicyą, najrozmaitsze zabawy, koncerta, rauty, a obecnie majówki. „Mein Liebchen, was willst du noch mehr?“

Maj — miesiąc słowików, poezyi i miłości!... Majówki! Na samo ich wspomnienie widzę uśmiechnięte i zarumienione twarzyczki, usta rozkoszą drżące i niebieskie, siwe, a najpiękniejsze te czarne oczka Lwowianek. Modne są u nas majówki na cele filantropijne. Jednę z najpierwszych urządziło „Towarzystwo św. Salomei.“ Towarzystwo to, założone przez światłego kapłana-Polaka, ks. Siemieńskiego, ma na celu opiekę nad wdowami i sierotami. Już to Lwów, rywalizując z Warszawą, należy do miast, szczycących się miłosierdziem i dobroczynnemi instytucyami.

Ale i na innem polu Lwowianki nie pozostają w tyle za innemi. Znakomicie się rozwija tutajsza „Czytelnia dla kobiet“. Czcigodna powieściopisarka, Eliza Orzeszkowa, nadesłała niedawno na ręce przewodniczącej list pełen serdecznych wyrazów podzięki za mianowanie jej honorowym członkiem Czytelni i pełen zachęty i pochwał dla naszych pań. Obok „Czytelni“ ze wszech miar zasługuje na uznanie „Towarzystwo pracy kobiet“, które postanowiło wziąć inicyatywę w założeniu bazaru wyrobów krajowych, wychodząc ze słusznego zapatrywania, że podniesienie przemysłu krajowego w pierwszym rzędzie zależy od pań.

Przemysł krajowy u nas, dotychczas po macoszemu traktowany, doznaje w ostatnich czasach gorliwej opieki ze strony władz autonomicznych i rządowych. Istniejące tu już trzeci rok „Towarzystwo dla handlu i przemysłu“ ma na celu ułatwienie zbytu i udoskonalenie wyrobów krajowych. Towarzystwo to zajęło się głównie tkactwem i prowadzi własny wyrób płócien i bielizny stołowej w Korczynie, a wyroby jego odznaczają się dobrocią i od zagranicznych są o $^1/_3$ część tańsze. Towarzystwo ma we Lwowie sklep, w którym prócz powyższych sprzedaje wyroby pończoszkowe, koronkarskie i inne.

Dotychczas krocie wydawano na rozmaite fatałaszki, sprowadzane z zagranicy, teraz powoli zaczyna się to zmieniać. Kobieta-Polka z samego patryotyzmu powinna uważać, aby nie wzbogacać firm zagranicznych, a otrzymywać za to w dodatku towar lichy i drogi. Potrzeba nam więcej poczucia dumy narodowej. Niewiasty nasze zawsze i wszędzie powinny być Polkami i wypełniać obowiązki wobec społeczeństwa, jako Polki-żony, matki i siostry, a wobec narodu, jako Polki-obywatelki.

Nakładem tutajszego „Towarzystwa pedagogicznego“ wyszła broszurka Mieczysława Baranowskiego: „O wychowaniu dziewcząt z uwzględnieniem obecnych stosunków i potrzeb.“ Jest to sumiennie opracowane studyum nad praktyczną stroną wychowania kobiet, które porusza wiele wad dzisiejszej metody, a myśl cała tej broszury oparta jest na pięknej i prawdziwej zasadzie, że wartość przyszłych generacyi zależy od wartości, a więc od wychowania dziewcząt, które będą matkami przyszłego pokolenia.

Smutno a jednak trudno zaprzeczyć, że daleko nam jeszcze do takiego poczucia obywatelskiej godności, jak np. na Węgrzech, gdzie przemysł krajowy w latach ostatnich wyparł prawie do szczętu wyroby zagraniczne, a zasługę pod tym względem mają głównie kobiety. Brak nam wytrwałości i za mało posiadamy ambicyi narodowej. Przodować jak w zbytkach, tak i tu powinnaby arystokracya, ale dajmy pokój — anatema na nią rzucane pozostają bez skutku. A mieszczaństwo?...

Przeciętny Lwowianin, którego polityka nie obchodzi, zajmuje się żywo wiadomościami brukowemi. Hausner, syn deputowanego, zastrzelił się na cmentarzu, sekretarz cyrku Schumana, straciwszy za wiele dla jakiejś kawiarnianej muzy, także się zastrzelił, w chwili, gdy to piszę, dowiaduję się o samobójstwie profesora szkoły dublańskiej, Kahanego, ktoś tam znowu zażył trucizny, dwie kobiety w śródmieściu zamordowano, kamienica świeżo wybudowana zawaliła się, cyrk, menażerya, kilka lampartów dzikich i oswojonych — oto pole do rozmowy, plotek i domysłów dla Lwowianina *minorum gentium.*

Rodzaj pośredni wzrusza ramionami, pozostawiając takie drobnostki dla hołoty, sam zaś uczęszcza i ziewa na odczytach, koncertach i w teatrze. Afisz, zapowiadający nową śpiewaczkę, porusza ich więcej, niż samobójstwo zgranego w karty panicza, lub lekkomyślnego utracyusza dla kawiarki. Tym sprawił niespodziankę p. Glikson, dyrektor teatru krakowskiego, który zabrał nam utalentowaną parę artystów: państwa Żelazowskich, ulubienicę publiczności, p. Pysznikównę, p. Frenkla i p. Ruszkowskiego. Warszawa i Kraków zabierają nam zawsze lepsze siły teatralne, bo Lwów nie umie ich należycie ocenić. Tak samo stało się przed laty z artystą Lubiczem, który dopiero w Krakowie zasłynął nietylko, jako zdolny reżyser, ale jako wytworny znawca mody i właściciel magazynu gorsetów. Któż wie, jakie jeszcze zdolności kryją się w naszych artystach?

Ale wróćmy do mieszczaństwa. Jest jeszcze trzeci rodzaj — to elita mieszczańska, która oddawna zajmując się sprawami publicznemi, czyni skuteczne usiłowania godne obywateli stolicy do wyemancypowania się z pod szkodliwego wpływu sfer, dotychczas rządzących. Wyrazem nowych zapatrywań był wybór Niemczynowskiego i powtórny Lewakowskiego do rady państwa, a niedawno Mochnackiego na prezydenta rady miejskiej. Usiłowania te dodały otuchy zdrowej demokracyi polskiej w Galicyi, bo za przykładem stolicy idą i inne miasta prowincyonalne.

Zdaje się, że nowe wybory wypadną pomyślnie i przyszły sejm wolnym będzie od chwastów i pokrzyw. Mieszczaństwa polskiego o zdrowych zapatrywaniach, mieszczaństwa, na którem mógłby się oprzeć naród — mamy niewiele. Dla tego z prawdziwą radością śledzimy rozwój niedawno zawiązanego „Towarzystwa im. Stanisława Staszyca“ z dewizą: *Upaść może i naród wielki, zniszczeć tylko nikczemny.* Celem Towarzystwa jest szerzenie oświaty i nauki, jako też rozbudzenie ducha narodowego właśnie pośród tej klasy społeczeństwa. W krótkim przeciągu czasu pozyskało ono wielką liczbę zwolenników i jest nadzieja, że wpływem swoim i książeczkami, wydawanemi co miesiąc, przyczyni się w znacznej mierze do rozwoju i udoskonalenia polskiego mieszczaństwa. Wielu członków pozyskało Towarzystwo także poza granicami kraju, bo w Szwajcaryi, Anglii, nawet w Ameryce. Posełam Wam równocześnie prospekta i książeczki dla tych, którzy się solidaryzują z celami Towarzystwa i zechcą współdziałać.

Władyka.

Ze wsi, w maju.

Upał tak niezwyczajny, susza tak przerażająca, że trudno zacząć czem innem, jak powietrzem. Już to takie stare przyzwyczajenie — mówić o pogodzie, cieszyć się nią, lub żalić się na nią!... Jeżeli też, wyglądając od kilkunastu tygodni z upragnieniem kropli deszczu, mówimy głównie o pogodzie i jej skutkach, śledząc notatki meteorologiczne, myśląc o urodzajach i trudnościach, jakie agronomowie zwalczać będą musieli, toż i trudno być zadowolonym, trudno zapomnieć o tem, co tak się daje we znaki. — Straszne więc mamy upały — i długie, jasne dni majowe pod wpływem skwarnych promieni słonecznych straciły cały swój wiosenny urok — wszędzie powietrze duszne, gorące, które sprowadza za sobą niechęć, nudę i ospałość. — Cała natura zda się omdlewać — to też wszyscy, a w szczególności ci, co bezwzględnie na te przykre niedogodności muszą w pocie czoła pracować przez kilkanaście godzin, niecierpliwie oczekują wieczornego, ożywczego chłodu. Wieczory obecne są rzeczywiście tak piękne, tak ponętne w swoim uroku wiosennym, że trudno się niemi nie rozkoszować, tem bardziej, że w nich nas wszystko do Boga zbliża i prowadzi. — Może mnie nazwiecie romansową marzycielką..... nie wiem..... wiem tylko, że piszę przy schyłku takiego wieczora, że przez okno otwarte dochodzi mię upajająca woń wspaniale rozwiniętych bzów, dźwięki pieśni nabożnej, śpiewanej przez wiejskich dziewcząt gromadkę, rzewny śpiew słowika wiernego swemu gniazdkowi, więc marzyćby można.... Ale urocze marzenia rozprasza myśl o tych nieszczęśliwych mieszkańcach miasta, co, przykuci do ciężkiej pracy i twardego obowiązku, muszą pozostać w dusznych miejskich murach i którym ani na chwilę nie zabłyśnie nadzieja odetchnięcia świeżem, czystem powietrzem, których wreszcie, gdy wracają wieczorem do swego wilgotnego mieszkania, wita cała gromadka wynędzniałych, chorych i smutnych dziatek. — Widzę w myśli mizerną izdebkę, z której każdego kąta w całem znaczeniu wyrazu wyziera nędza, której całym sprzętem liche łóżko, kilka połamanych stołków i okopconych obrazów — okna zaklejone papierem, powietrze duszne i wilgotne! — mieszka tam biedny rzemieślnik, ojciec rodziny, który pracą ciężką ledwie tyle zarabia, by nie umrzeć z głodu z żoną i kilkorgiem dzieci wychudłych, bosych, obdartych.... głosem, co serce rozdziera, wołających! „matko, chleba!"

I czyliż my, używający do woli wszelkich obfitych darów niebios, nie mielibyśmy w imie miłosierdzia chrześciańskiego przynieść skutecznej pomocy tym maluczkim, przygarnąć ich do siebie przez cztery tygodnie wakacyi, przywrócić im za pomocą ożywczego, wiejskiego powietrza zdrowia, a może życia, i przysporzyć chwilki swobody?... Ach! bierzmy, bierzmy ich jak najwięcej, i tak bardzo wiele ich jeszcze pozostanie; — dla nich to chwila największego szczęścia, gdy swoje manatki zwijają i wybierają się w tak dla nich „daleki świat!" — Trudno nie rozrzewnić się, patrząc na tę gromadkę schludnie odzianych dziatek, jak z wesołem obliczem spieszą do nas... dla smutnego mianowicie serca widok to orzeźwiający, niby chłodny wietrzyk w czasie skwarnych dni.... A wierzcie mi, Łaskawe Czytelniczki, że nie piszę pod wpływem zapału chwilowego, ale każde słowo opieram na doświadczeniu. Przekonałam się naocznie, jak nędznie, jak niezdrowo wyglądają mieszkania rodziców tych dzieci, które w swych domach ugaszczamy, a znałam takie, które chciały podczas swoich wakacyi na wsi z przeznaczonych dlań pokarmów mięsnych, posilnych zbierać zapasy dla swych w Poznaniu pozostałych ukochanych, którzy przez cały długi rok mięsa nie zaznali! — Darujcie mi, że pisząc w tej sprawie już w roku zeszłym, znów się dziś nad nią tak obszernie rozwodzę — ale wyznaję, że serce ściska się obawą, czy my, młode Wielkopolanki, w chwili, gdy miłosierdzie chrześciańskie stoi przed nami otworem, nie zrobimy zawodu tym, którzy od nas pewnej wyglądują pomocy; czy damy im to, co tak łatwo dać możemy? Niech ozdobą naszego miłosierdzia będzie owa rzadka w nas cnota wytrwałości; nie chodźmy w ślady tych kobiet światowych, które, uniesione chwilowym zapałem, zdobędą się na razie na ofiarę, ale kaprys ten mija szybko, jak każdy kaprys, szybko zapominają, że chrześciańskie miłosierdzie nie nuży się nigdy, karmi się wciąż poświęceniem, zaparciem siebie, że nam nie słów, ale czynów coraz więcej potrzeba!

Wielkopolanka.

Ibrang - Hoihsthohl.

(Z kartek szukającego ideałów.)

I.

Znaliście zapewne mego wujaszka Edwarda. Nie był on szablonowym przeciętnym facetem. Nie należał do stereotypów — bynajmniej.

Ach! tak... mój wujaszek Edward był dziwnym człowiekiem.

Niezwykłe to „homo" (wybaczcież, proszę, przemianę artykułu) piło wszystko, ale to wszystko, czem je częstowano — wino, atrament, arak, kawę, limonadę, terpentynę i t. d.... słowem, nie miało w tym punkcie żadnych a żadnych uprzedzeń i predylekcyi — z jednym przecież jedynym wyjątkiem.

Mój wujaszek Edward nie pił nigdy ani jednej kropli wody. Wolałby on był własnoręcznie ustrugać dla siebie palik i własnonożnie ześliznąć się na dół po onymże głaciuśkim paliku, aniżeli wypić choć jednę kropelkę wody; na samę myśl o wodzie wiądł już i zieleniał!...

A nie sądźcie przecież, aby ów wodowstręt wuja mego polegał jedynie na niesłychanym kaprysie, na wyjątkowej jego naturze gardła, lub złośliwości serca. Nie czyńcież mu tej krzywdy. Otóż wuj Edward raz tylko w życiu napił się wody ze zdroju czystego — a raz ten jeden okupił męczarnią całej reszty tegoż życia. Było to zaś tak:

Podróżując w r. 1878 po południowej Persyi, wujaszek Edward końcem października znalazł się na drodze karawanowej między Szyrasem a Szusterem. Wieczorem dnia 19 października rozłożył się wraz z towarzyszami w okolicy ruin słynnej niegdyś Suzy — tuż przy znanym grobowcu i meczecie proroka Daniela. Dzień piekielnym palił żarem, ale noc była cudną nad wyraz. Kilka palm, wieńczących grobowiec, szeleściało tajemniczo — a wody przepływającego strumienia Szauru szemrały rytmicznie nad zwłokami męża świętego, co ocalał w lwiej grocie. Poezya panowała w naturze i w mózgu wuja Edwarda.

Począł on dumać — a myśli jego, rozwiane zrazu chłodem miłym wieczora, przybrały ostatecznie postać pochwytniejszą i skrystalizowały się nareszcie w następnej konkluzyi:

„Całe moje życie piłem tylko mleko, koniak, chininę, węgrzyna i inne tego rodzaju trywialne trunki. Dla cze-

gożbym tutaj, przy grobie Daniela, nie miał po raz pierwszy i ostatni zakosztować wody?“

Ale zaledwie myśl tę powziął, dziwne rzeczy dziać się poczęły. Na dnie strumienia dały się słyszeć piski jakieś, wycia, buczenia, rechotania i skrzeki. Cały zastęp podwodnych mar i widziadeł począł kipieć tam i kotłować — a każda kropla wód Szauru fosforycznem, brylantowem zaskrzyła się światłem. Na horyzoncie dalekim księżyc bladą, anemiczną zaświecił facyatą, jakby się żaląc boleśnie — że mu katar zbyt srodze dokucza. Niebo ołowianemi zaciągnęło się tonami — a poblizkie palmy gięły się rozpaczliwie z obawy, aby snać nie runęły na nie owe ołowie niebios smętnych a ponurych. Zgasły ogniska obozu — grobowiec Daniela białą, ostrą sylwetą zajaśniał na tle czarnem i sterczał, jak morska latarnia, w ciemnicach, co zaległy naturę i duszę mego wujaszka Edwarda.

On zwrócił twarz przekrzywioną kurczowo ku szczytowi sześciograniatej wieżyczki grobowca — a księżyc całą siłą niebieskawego światła oświecał teraz obie — t. j. twarz wujaszka i wieżycę.

A wuj Edward począł robić oczy duże, okrągłe, wyłupiaste, jak dwie gałki ałunu — ale oczy słodsze, niż marokańskie daktyle. Usta podniósł zwolna w kątach ku uszom — zęby jego zarysowały się białemi perłami na czarnej plamie podniebienia. Bo wszakżeż oto na szczycie wieżyczki zamajaczyła postać jakaś wiotka, niewieścia — postać sylfidy czarownej — zjawiska cudownego, rzucającego skrę światła i pociechy na „noc nicości i pustynię życia.“

Słodycz wyrazu twarzy wuja mego przybrała wreszcie tego rodzaju rozmiary, że począł od niej dusić się i dławić — czuł, że ulepek słodyczy tej całe mu już zakleja gardło

Ale oto — na szczycie wieżyczki postać anielska poruszyła się z lekka — przyklękła — nieba!... ona wyciąga obie rączki w stronę wuja Edwarda... ani wątpić... wymownym ruchem ramion woła go ku sobie....

Wujaszek, jak szalony, pędzi ku wieżycy — lunatyzm i zapał nie znają zapory — choć nie ma wschodów i przejścia, wujaszek, jak długonogi, cienki pająk, pnie się na szczyt wieży. Każda szpara, każda nierówność najmniejsza służy mu za punkt do oparcia ręki, lub nogi. Już jest przy samym kręgo-słupie — już objął ramionami wązki trójścian szczytowego głazu — teraz on już na samym wierzchu — tuż przy niej — przy ideale!...

Wuj Edward (o ile wązkość miejsca dozwala) rzuca się do stóp niebianki — chwyta drogie te stopy i gorący na nich składa pocałunek. Teraz ośmiela się spojrzeć w oblicze cudownej tej istoty... piekła!... czyż podobna... pusto... strasznie pusto... ona nie ma wcale oblicza — bo w ogóle n i e m a g ł o w y!...

Miasto tejże na tym cudownym biuście, na szyi łabędziej osadzona drewniana, gładka, glansowana, różowa głowa od robienia czepków i kapeluszy szczerzy przerażającą ironią nicości swej na wujaszka mego i „pustynię jego życia.“......

* * *

Ale wuj Edward mocny ma koścień moralnego organizmu. Nie spadł z wieży, ani nie omdlał nawet; opadł tylko po prostu na lunatyzmie, iluzyi i zapale.

Następnie (t. j. po opadnięciu owem) ze zimną krwią pochwycił oburącz jednę z obu stóp świeżo ucałowanych — a wreszcie, całą postać podniosłszy do góry, wszystkiemi siłami trzymał za nogę w kostce, tudzież i za piętę. Naturalnie też w skutek tego prawem ciężkości to, co było dotychczas u góry, poszło na dół — i odwrotnie. Glansowana głowa od czepków poczęła bić drewnianą czaszką o kamień szczytowy, a nogi znalazły się najwyżej — na wysokości dłoni wzniesionych wuja Edwarda. W tej pozycyi krytycznej potrzymał wujaszek ideał swój chwilę długą — a wysunąwszy się zupełnie nad krawędź szczytu, dał ideałowi bujać nieco nad przepaścią. Jeszcze chwilę namysłu spokojnego i dumania — a następnie bez goryczy i żalu wuj Edward manekin cały rzucił daleko od siebie — w sine a chłodne fale modrego Szauru.

* * *

Teraz chodziło tylko jeszcze o zejście z wieżycy. Zadanie nie było łatwem wcale — bo nie wspierał już sił nadszarpniętych lunatyzm i zapał.

Ale wuj Edward miał wówczas lat 26, miesięcy 4 i dni trzy — nie licząc minut i sekund — czegoż zaś nie dokaże się w tym wieku?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości literackie.

Ze Salzbrunn na Śląsku nadesłano nam książeczkę z wyszczególnieniem własności leczniczych tamtejszego źródła, t. z. „Kronenquelle“. W obec rozlicznych skutecznych wód krajowych polecanie obcych byłoby co najmniej niewłaściwem na tem miejscu, uważamy sobie jednakowoż za dziennikarski obowiązek podać w skróceniu treść nadesłanej broszury. Broszurka ma tytuł: „Die Kronenquelle zu Obersalzbrunn in Schlesien, von Dr. C a r l L a u c h e r.

Źródło tak zwane „Kronenquelle“ na Śląsku znanem już było 1818 roku, lecz nie wiedziano o leczniczych jego własnościach; dopiero w roku 1879 dokonał dr. Ziureck w Berlinie chemicznego rozkładu tejże wody, na próbę w butelce sobie przysłanej. W roku następnym podjął się prof. dr. Poleck dokładnej analizy źródła osobiście na miejscu, dając światu poznać lecznicze jego własności. Źródło, w mowie będące, wytryska na korytarzu hotelu „Pod pruską koroną“, przepływając przez grubo ziarnisty pokład węglanego piasku. Woda ta posiada czystość kryształu, jest bezbarwną i bez woni, z zaledwie uczuć się dającym smakiem soli. Przy przechowywaniu jej w butelkach osadza się na dnie lekki, brunatnawy osad żelaza, który podług życzenia może być wypitym, lub na spodzie pozostać. Woda ta posiada własność, jaką nie każde źródło poszczycić się może: zachowuje bowiem świeżość do dwóch lat nawet, co zawdzięcza zupełnemu brakowi organicznych części rozkładowych. Ten rzadki przymiot umożliwia leczenie się nią w domu i oszczędzenie tem samem kosztów podróży i pobytu u wód osobom niezamożnym.

Można rozpocząć kuracyą w każdej porze roku, najodpowiedniejszą jednakowoż jest rozpoczynająca się ciepła pora. W przecięciu wystarcza wypić jednę butelkę dziennie, przy silniejszem pragnieniu można i więcej używać, lecz nie należy nigdy więcej wlewać od razu do szklanki, niż wypić możemy, ponieważ w ten sposób ulatnia się z niej kwas węglowy, który stanowi główną własność leczniczą. Przysposobionym poprzednio dobrym korkiem powinna być butelka natychmiast szczelnie zamkniętą. Skutek leczniczy tej wody następuje często już po dwutygodniowem jej używaniu. Ilość butelek, przeznaczonych na kuracyą, dochodzi zwykle do 50-ciu. Mniejszej wagi jest to, czy woda ma być używaną naczczo, lub po jedzeniu, najodpowiedniejszą jednakowoż jest godzina 10 przed południem. Osoby, nieleżące w łóżku, mogą używać raz na tydzień

kąpieli ciepłej, wynoszącej 28 stopni ciepła. Osobom, przyzwyczajonym do rzecznych, lub morskich kąpieli, nie jest dozwolonem zostanie dłużej w kąpieli nad 10 minut, przy 18 stopniach ciepła we wodzie, a 20-tu w powietrzu. Dyeta nie potrzebuje być ściśle oznaczoną; wystrzegać się tylko należy kwasów, gorących napoi, do których arak, piwo i cięższe wina się liczą. Najodpowiedniejszemi są dobre rosoły, mięso bez tłuszczu, kompoty, świeże ryby, lekkie potrawy mączne i chleb biały. Mniej chore osoby, przyzwyczajone do palenia tytuniu, mogą go przy kuracyi używać. Z powyższego wyszczególnienia widzimy jasno, iż używanie wody salzbruńskiéj prawie żadnych nie przedstawia trudności.

Dodać należy, że woda tego źródła leczy skutecznie mnóstwo chorób, a przede wszystkiem błonicę, wszelkie choroby gardła i płuc, kamień, blednicę, katar żołądkowy, reumatyzm i t. d. Skuteczność źródła stwierdzają liczne powagi lekarskie, których świadectwa i nazwiska podaje broszura.

Promyki.

(Zebrała Julia D).

Z małych to cząstek życie się składa,
Z chwilek na pozor bez ceny;
Lecz komu cząstka marnie przepada,
Życie rozpływa się w treny.

W. Pol.

Nie ma większej rozkoszy na ziemi i niebie,
Jak poznać, czcić i kochać wyższego nad siebie.

E. Odyniec

Gdyby nie ciernie, co życie dręczą,
Kalecząc ducha i ciało,
I niszczą marzeń siatkę pajęczą,
Celu by życie nie miało.

Autor „Strof."

Wytrwałość i praca zdolne są zaprowadzić człowieka wszędzie, gdzie tylko miejsce dla siebie wymyśli, choćby to miejsce miało być... pod samemi gwiazdami!

Zygmunt Kaczkowski.

Szanujmy przeszłość, ale przedstawiajmy ją zgodnie z prawdą. Czcijmy cnoty ojców, ale wad ich nie uwielbiajmy dla tego, że stare.

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWEK.

w n. 14 „Domu polskiego":

I.

1. Deukalion. — 2. Orzechowski. — 3. Miramare. — 4. Półkozic. — 5 Offenbach. — 6. Lineusz. — 7. Syreny. — 8. Kublaj. — 9. Indye.

„Dom polski" niech żyje!

II.

1. Wolapük. — 2. Epikur. — 3. Roxana. — 4. Nemezis. — 5. Ypsilanti. — 6. Humań. — 7. Oziris. — 8. Ruryk. — 9. Alfieri.

Wernyhora. — Krasiński.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Zofia Laskowska ze Środy, Teofila Zielińska z Lublińca, Stella Kozłowska z Poznania; — pp Kazimirz A. A. Kerber ze Środy, St. Mazer z Soboty, Hipolit Cegielski i Edmund Konarski z Poznania.

Nagrodę otrzymał p. Hipolit Cegielski.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożyła Helena Wituska.

Zgłoski: a, bien, bud, ciel, cer, da, da, de, du, flan, gast, i, i, in, in, izm, jo, ka, ka, kau, kle, ko, ko, leb, man, na, nas, ne, no, noff, od, pa, parz, ra, rab, rzep, sar, sau, se, ty, trys, ville, wa, wi, za, ze, zos, zwic.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejsce spoczynku. — 2. Określenie narodowości. — 3. Miasto w Saksonii. — 4. Rodzina rosyjska. — 5. Córka króla medyjskiego. — 6. Poboczna Dunaju. 7. Bóstwo słowiańskie. — 8. Urocza miejscowość w Tatrach. — 9. Wyznanie religijne — 10. Pożyteczna w gospodarstwie roślina. — 11. Przydomek króla polskiego. — 12. Miasto pamiętne bitwą w czasach rozbiorowych. — 13. Pracownik w drukarni. — 14. Kraj. — 15. Prowincya pruska. — 16. Król egipski. — 17. Przedmieście starożytnego polskiego miasta. — 18. Kronikarz francuzki z XIII wieku.

Za dobre rozwiązanie nagroda.

LISTKI.

Do naszych Czytelniczek i Czytelników.

Łaskawych Panów i Panie prosimy uprzejmie o nadesłanie nam humorystycznych krótkich opisów, zdań i anegdot. Nadesłane już się wyczerpały, a weseli czytelnicy wołają o nowe; tymczasem znajdą w niniejszym numerze humoreskę obszerniejszych rozmiarów, która — spodziewamy się — zadowoli w pełni zwolenników dobrego humoru i bujnej fantazyi!

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.